



# HELENA SEKULA



# ZŁOTY BLUES

Helena Sekuła

## ZŁOTY BLUES

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-23-4

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Na okładce: złota dziesięciodolarówka

Odezwał się sygnał jednego z piętnastu aparatów telefonicznych opatrzonych numerem 262424.

– Pogotowie milicji, słucham – dyżurny kapitan powtórzył monotonicznie, jeszcze raz, wielokrotnie powtarzane słowa.

W słuchawce przez moment słychać było urywany szmer, potem nieartykułowany dźwięk, znowu nieco głośniejszy szmer...

Milicjant dosłyszał przerywany szept: – Nap...ad r...atunku. Rozległ się cichy stuk i zaległa cisza.

Kapitan odłożył na bok milczącą słuchawkę. Przysunął mikrofon.

– Proszę natychmiast sprawdzić z kim połączony był numer „Pogotowia” – polecił.

Zrobił pół obrotu na ruchomym stołku i na ukośnie ustawionym pulpicie przełożył małą dźwignię.

Wielka świetlna mapa Warszawy, zajmująca całą ścianę na wprost kapitana, rozjarzyła się różnobarwnymi plamami.

Wola w trzech punktach płonęła czerwono, Ochota w dwóch, teren Śródmieścia pokrywało pięć rubinowych plam. Przeważały błękitne i żółte kwadraty, niesymetryczne wieloboki i prostokąty.

– Uwaga! Wszystkie radiowozy! Zarządzam blokadę miasta!... Notować numery samochodów opuszczających granice Warszawy... rezerwowa grupa radiowozów również do akcji...

Kapitan odruchowo spojrzał na ścienny zegar; jego wskazówki biegły niepokojąco prędko.

Niecierpliwie wpatrywał się w mapę. Błękitne plamy zniknęły, natychmiast po nich żółte, następnie, jakby ociągając się – czerwone. Cała mapa świeciła teraz bielą bezcieniowego światła. Wreszcie na grubej linii oznaczającej granice miasta, zaczęły układać się niebieskie plamy.

W tym czasie po ulicach Warszawy z wyciem syren gnały milicyjne radiowozy, aby najszybciej zająć wyznaczone stanowiska na granicach miasta.

Gdy dyżurny kapitan przekładał dźwignię selektora, łącząc się z komendami dzielnicowymi, świetlna mapa Warszawy była otoczona wieńcem błękitnych plam.

Odezwał się mikrofon.

– Kapitanie, telefon „Pogotowia” był połączony z numerem 110584, Saska Kępa, ulica Paryska nr... willa jednorodzinna. Własność Pawła Rittnera.

– Kto z inspektorów Komendy Głównej Milicji ma dyżur domowy? – zapytał kapitan.

– Major Korosz – odpowiedział głos z mikrofonu.

– Proszę go zawiadomić o wypadku i wysłać samochód.

– Tak jest.

Dyżurny połączył się z pogotowiem ratunkowym, zawiadomił o napadzie i podyktował adres.

– Akcja specjalna dla wszystkich dzielnic – mówił po chwili do selektora – zarządzam blokadę miasta.

Dzielnice kolejno potwierdzały przyjęcie rozkazu.

– Akcja specjalna dla posterunków stałych, patroli i tajnej służby wywiadowczej... – wywoływał nadal kapitan – zarządzam blokadę miasta. Wzmocnij natychmiastową akcję patrolową szczególnie w rejonie Saskiej Kępy... proszę pozostawać na odbiorze... za chwilę podam szczegóły.

Od chwili wzywającego pomocy telefonu upłynęło sześć minut.

Dwa wozy na pełnym gazie zdążyły w stronę Saskiej Kępy. Przenikliwie zawodziła syrena pogotowia ratunkowego i schrypnięty sygnał samochodu, który wiozł majora Korosza.

Na słabo oświetlonej ulicy prawie równocześnie zatrzymała się karetka i milicyjny samochód.

W głębi ogrodu, pogrążona w półmroku, stała niewielka willa. Wejście oświetlała prostokątna latarnia zawieszona nad drzwiami pod daszkiem z matowego szkła.

Okna domu były ciemne – wokół panowała niczym niezmacona cisza. Major energicznie szarpnął furtkę. Była zamknięta. Zmierzył wzrokiem wysoki parkan najeżony u góry ostrymi grotami. Zarzucił na nie swoją wiatrówkę.

– A jak ja mam wejść? – zapytał niemłody lekarz pogotowia, który szedł tuż za inspektorem.

– Widzi pan...

– Nie jestem akrobatą.

Major skinął na technika, który stał obok w milczeniu z nieodłączną walizką śledczą. Technik wydobyl pęk wytrychów i w świetle silnej latarki dopasował właściwy.

Po chwili furtka ustąpiła. W ten sposób musieli też otwierać drzwi wejściowe.

Gdy zapalili światło w przedpokoju cichej willi, inspektor przez chwilę podejrzewał, że informacja o napadzie to pomyłka, lecz już w hallu przekonał się, że w tym na pozór spokojnym domu usiłowano zamordować człowieka.

Pośród straszliwego nieładu, porozrzucanych przedmiotów, tuż przy stoliku z telefonem leżał mężczyzna. W jednej ręce kurczowo zaciskał słuchawkę. Skrzynka telefonu leżała na jego barku. Widocznie ściągnął ją ze stolika padając.

Jasny dywan wokół jego głowy nasiąknięty był krwią.

Lekarz bez słowa pochylił się nad leżącym.

– Jeszcze żyje – powiedział. Odmierzonymi ruchami nałożył prowizoryczny opatrunek i skinął na sanitariuszy z noszami.

– Szpital na Oczki – zawiadomił lakonicznie lekarz wybiegając za noszami.

W drzwiach zgromadziła się ekipa dochodzeniowa. Inspektor włączył reflektor i w jego mlecznym świetle zaczął ostrożnie oglądać hall.

Na podłodze leżały w nieładzie jakieś papiery, zmięte kwity i delikatna różowa bibułka. Dalej – przewrócony fotel, porozrzucane książki. Kąt zalegała sterta starych gazet i czasopism.

Po obejrzeniu hallu i zorientowaniu się w rozkładzie mieszkania, na polecenie inspektora grupa techników dochodzeniowych przystąpiła do szczegółowych oględzin i zabezpieczenia ewentualnych śladów.

Major wyszedł do radiowozu i połączył się z oficerem dyżurnym miasta. Przekazał skąpe wiadomości o sytuacji jaką zastał na miejscu napadu.

Gdy wrócił do mieszkania, technik nachylony nad podłogą wskazał leżący przedmiot. Ostra krawędź dużej popielniczki z kutego żelaza pokryta była brunatnymi plamami skrzepłej już krwi.

– Masywna – mruknął technik ważąc ją w rękę. – Mogli go tym ogłuszyć, a nawet zabić.

Ostrożnie zebrał próbki brunatnych plam i kilka włosów, które przyłgnęły do ich powierzchni.

– Jezusie nazareński, co tu się dzieje!

Inspektor odwrócił się w kierunku drzwi. Na środku hallu stała tęga kobieta w bardzo opiętej sukni. Jej pełna figura zasłaniała zupełnie funkcjonariusza pilnującego wejścia.

– Kim pani jest? – zapytał major.

– Dobry sobie – prychnęła pogardliwie kobieta ujmując się pod boki. – A wy? – zatoczyła krąg pulchną ręką.

Major w odpowiedzi odchylił klapę wiatrówki.

– Panie, co tu się stało? – w głosie słychać było rosnące zdenerwowanie. – O Boże, krew! – kobieta postąpiła krok naprzód i dostrzegła ciemne plamy na dywanie.

– Gdzie jest pan Rittner? – chwyciła majora za rękę.

Inspektor nie bez trudności wyprowadził ją do kuchni.

– Co jest z moim panem?

– Proszę odpowiadać na pytanie – z naciskiem powiedział major.

– Co mnie pan traktuje jak bandytę? – oburzyła się gospodyni. Zaczęła mówić szybko, podniesionym głosem. Z potoku słów kobiety wywnioskował, że miała dzisiaj wolny dzień. Wczoraj przygotowała mu jedzenie na dwa dni i pojechała do swojej rodziny pod Skierniewicami. Wróciła ostatnim pociągiem do Warszawy.

– Już mnie na ulicy coś tknęło – zwierzyła się majorowi nieco spokojniejszym tonem. – Patrząc i oczom nie wierzę: furtka zostawiona otworem, niepodobne to do mego pana. Pan Rittner jest taki akuratywny... a już jak zobaczyłam, że drzwi niezamknięte, to myślę: nic, tylko jakieś nieszczęście... a w przedpokoju wychodzi na mnie chłop jak piec, gęba ponura, no i patrzcie państwo – milicja – spojrzała na majora kiwając głową.

Korosz postawił przed nią ciężką popielniczkę znaną na dywanie w hallu.

– Czy to własność pana Rittnera, poznaje pani?

– A jeszcze by nie. To od kompletu. Robione na zamówienie u jednego takiego na Nowym Mieście. Ta popielniczka, kinkiety w hallu i świecznik... – rozgadała się znowu gospodyni.

– Dziękuję pani – przerwał jej major.

Ku jej wielkiemu oburzeniu, nie odpowiedział na żadne z rozlicznych pytań zadanych z szybkością karabinu maszynowego, natomiast zalecił jej bardzo stanowczo, żeby nie opuszczała służbowego pokoiku przy kuchni.

Pod drzwiami służbówki usiadł na straży rumiany sierżant, który od czasu do czasu przerywał potok jej wzburzonej przemowy radą, żeby poszła spać, a rano wszystko się wyjaśni.

Tymczasem na polecenie majora pod Skierniewice wyjechał oficer dochodzeniowy, aby sprawdzić u rodziców gosposi – pani Rozalii – czy rzeczywiście była tam krytycznego dnia.

Rano prawdomówność pani Rozalii – przynajmniej co do sposobu, w jaki spędziła dzień – została potwierdzona.

W tym czasie ekipa dochodzeniowa zakończyła oględziny domu i ogrodu.

Major delikatnie zapukał do pokoju gospodyni. Natychmiast otworzyła drzwi. Była ubrana. Zacerwienione powieki, świadczyły o tym, że w nocy nie spała.

– Można wejść? – zawahał się major.

– Co pan taki delikatny, przez całą noc siedziałam niby w areszcie, a teraz to: „Czy można wejść...” – przedrzeźniała ton majora. – A można, można.

– Czy pani jest zorientowana jakie wartościowe przedmioty miał w domu pan Rittner?

Gospodyni milczała. Niepewnym spojrzeniem obrzuciła mały pokoik, a potem podejrzliwie przyjrzała się majorowi.

– A po co chce pan to wiedzieć?

– Proszę pani, od zadawania pytań jestem tu ja – znieczcierpliwiał się Korosz. – Proszę o tym pamiętać na przyszłość.

– Bobrujcie tu całą noc i nawet nie powiecie dlaczego – rozpląkała się nagle. – Na miłość boską, co się stało z panem Rittnerem?

– Proszę się uspokoić – major położył dłoń na jej pulchnej ręce. – Wczoraj wieczorem w mieszkaniu dokonano napadu na pana Rittnera.

– Zabili go? – zawołała przerażona.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI